

ALEKSANDER SOCHACZEWSKI

NA SYBERII

(nowele politycznego zesańca)

Opracował i wydał *Richard Schott*

Wyd: Dr. Demder, Berlin [1906]

Tłumaczyła z niemieckiego Barbara Siebat

na zlecenie Muzeum Historii Polskiego
Ruchu Rewolucyjnego

Warszawa 1983

Nabożny mściciel

1.

Na północno-zachodnim skrawku zamieszkałej części Syberii, pomiędzy miastami Tara i Berezow, leży sporo wiosek, których mieszkańcy jeszcze przed niewielu laty wiedli zasobne i wygodne życie. W ich chronionych od wiatru dolinach bydło mogło bezpiecznie przezimować, więc z powodzeniem je hodowali, latem uprawiali żyto i jęczmień, a zimą chodzili na polowania w zasobne górskie lasy, z których dzięki obfitości zwierząt futerkowych wracali do domostw z wielce wartościowym łupem.

Zasobność ich podsyciała jednak chciwość naczelników i sprawników, i innych urzędników, którzy w tak odległym powiecie bezkarnie sprawowali despotyczne i surowe rządy. Porozumieli się z innymi urzędnikami i ustalili, by mieszkańców zaścianka złapać w pułapkę i wzbogacić się ich kosztem.

Chłopi syberyjscy mają zwyczaj w swoim obejściu zgarniać śnieg na ogromną górę, która leży tam przez całą zimę i często znika dopiero pod wpływem mocnych promieni słonecznych w pełni lata. Stało się to dla panów załączkiem konkretnego planu: pierwszy znaleziony trup miał zostać tylko pozornie pochowany, naprawdę zaś przeniesiony pod osłoną nocy do jednej z wiosek i ukryty w górze śnieżnej, w zagrodzie najbogatszego chłopca. Później już bardzo łatwo przyszło wszcząć dochodzenie w sprawie o morderstwo. Na syberyjskich drogach nie brakowało trupów osób zabitych lub zmarłych z zimna czy głodu. Postarali się o to włóczędzy, zbiegli z kopalń więźniowie, będący niegdyś plagą całej Syberii, a chłopcy w zamian za nagrodę od władz urządzali na nich prawdziwe polowania z nagonką, łapali i często bili aż do śmierci.

Ku wielkiemu zdziwieniu nie podejrzewających niczego mieszkańców do jednej z takich wiosek zawitała więc pewnego pięknego dnia cała chmara policjantów, by wtargnąć do domostwa najbogatszego chłopca.

Świętowano tam właśnie wesele najstarszego syna. Młoda para dopiero co wróciła z cerkwi i tańczyła wesoło w takt dźwięków bałałajki z krewnymi i sąsiadami, gdy nagle do izby wkroczył naczelnik.

Przeprosił, że zakłóca uroczystość, ubolewał, że z powodu obrzydliwej denuncjacji musi ją przerwać i łaskawie wypytywał o pannę młodą, która natychmiast została mu przedstawiona. Przyglądał się jej bacznie, bardzo pochlebnie wyraził się o jej urodzie, uszczypnął w policzki, spytał, jak się nazywa i ile liczy sobie wiosen.

– Nazywa się Maria Pietrowna i w ostatnią Wielkanoc skończyła 19 lat – odpowiedziała nie bez dumy matka, dostrzegając, że córka najpewniej niezwykle się podoba Jaśnie Wielmożnemu Panu.

– No tak, a ten tam, to pan młody, Karp Iłarionowicz Kazanow, bardzo pracowity chłop i do tego jeszcze bogaty – dodała ochoczo, wskazując rośłego chłopaka, który siedząc za stołem pod ikoną i podejrzliwym wzrokiem obserwował zachowanie dostojnego gościa.

Chłopi z początku nie wiedzieli, co myśleć o przybyszach i sądzili, że trwa komedia weselna, jakie zwykle się w tych okolicach odgrywać. Gdy jednak cała masa policjantów wtargnęła do izby z obnażonymi szablami, zorientowali się, że to nie żarty.

Młody małżonek podbiegł do swojej kobiety, wyszeptał jej coś do ucha i wraz z nią próbował opuścić izbę. Wszystkie wyjścia były jednak zamknięte, a kiedy próbował odepchnąć policjantów, bez ceregieli zbito go, powalono na ziemię i skuto kajdankami.

W mgnieniu oka pozostali mężczyźni, znajdujący się w izbie, zostali skrzepowani, a w tym czasie naczelnik i dwaj inni urzędnicy zasiedli za stołem i głośno w imieniu cara nakazali spokój.

Oślabł także z wolna krzyk kobiet, które blade jak trupy, wyłamując sobie palce, biegały pełne rozpacz między policjantami i skrzepowanymi mężczyznami.

– Dostarczono mi donos, że wszyscy jesteście mordercami – krzyknął naczelnik, gdy nareszcie zapanował spokój. – Przed kilkoma dniami obrabowaliście i pobiliście na śmierć podróżującego kupca.

Usłyszawszy to oskarżenie, chłopi rozdziawili ze zdziwienia gęby. Wkrótce jednak zaczęli krzyczeć i wśród wściekłego zgiełku przepychać się do stołu naczelnika aż do chwili, gdy stary Kazanow, ojciec pana młodego uciszył ich i poprosił urzędnika, żeby mógł na to oskarżenie odpowiedzieć.

Uczył to zaraz z powściągliwością i godnością, jaka pasuje wiejskiemu patriarsze. Zapewniał o ich niewinności i gotów był poręczyć za uczciwość wszystkich obecnych. Nigdy nie wyrządzili nikomu żadnej krzywdy, pracowali w spokoju, wysławiali Pana Boga, który błogosławił ich pracy i troszczył się o chów bydła.

– To brzmi bardzo ładnie – odpowiedział nieco bardziej uprzejmie naczelnik. – Gdyby wiadomość o waszych niegodziwych czynach nie pochodziła z dobrego źródła, prawie mógłbym uwierzyć, że jest fałszywa. Zostaliśmy jednak tutaj wysłani na polecenie cara, by szerzyć wśród ludu prawo i uczciwość, dlatego też musimy sięgnąć po wszelkie dostępne środki, żeby dojść prawdy.

Mieszkańcy zaręczyli, że w grę wchodzi niktzemne oszczerstwo. Byli prawymi ludźmi. Nigdy nic podobnego się u nich nie zdarzyło.

Właśnie te słowa sprawiły, że naczelnik poderwał się ze wściekłością i krzyknął.

– Milczeć! Jesteście bandą złodziei. Jeśli ktoś niepytany otworzy gębę, każę mu ją zatkać knutem!

Równocześnie dał znak policjantom, aż spłoszeni chłopcy odskoczyli.

Dopiero kiedy dwie niezamężne siostry pana młodego, piękne dziewczyny, rzuciły się do nóg naczelnika, błagając o łaskę, zdało się, że nieproszony gość zaczyna znowu nieco łagodnieć i staje się bardziej uprzejmy.

– Moi drodzy – powiedział z namaszczeniem, gładząc policzki dziewczyn. – Mnie samemu przecież serce się kraje. Oby Bóg sprawił, żeby mężczyźni mówili prawdę! Z całą pewnością jestem dobrym chrześcijaninem. Służę jednak carowi, niech mu Bóg błogosławi, a on żywi moją rodzinę, więc muszę być posłuszny jego prawom. Nic tu nie pomoże.

Kobiety milczały, wierząc w niewinność swoich bliskich i sprawiedliwość wysokich urzędników.

– Wszyscy obstawajcie zatem przy swoich oświadczeniach – dodał. Mężczyźni przytaknęli w odpowiedzi.

– Dobrze. A zatem przywołam kilku chłopów jako świadków i w ich obecności każę przeszukać dom. Zakopać ostatniego zamordowanego jeszcze nie zdążyliście. A więc się znajdzie.

Dwóch najbogatszych chłopów z sąsiedztwa wezwano na świadków, bez których zgodnie z rosyjskim prawem nie mogła się odbyć żadna rewizja, z wyjątkiem spraw o działalność polityczną. Gdy w grę wchodzi podejrzenie o nią, wystarczy obecność dwóch policjantów.

Zacząła się rewizja. Wszystkie izby, oborę i stodołę przewrócono do góry nogami. Oczywiście nic nie znaleziono. Naczelnik zdawał się być z tego zadowolony.

– Teraz rzeczywiście jestem przekonany o waszej niewinności – powiedział, kiedy policjanci zameldowali się po powrocie. – Sporządzą protokół. Świadkowie muszą go podpisać i na tym sprawa zostanie ku mojemu wielkiemu zadowoleniu zakończona.

Zasiadł za stołem i zaczął pisać, ale po chwili raz jeszcze spytał policjantów.

– Czy aby wszędzie zajrzeliście?

– Tak, jaśnie panie.

– I nie znaleźliście niczego, co wskazywałoby na morderstwo w celach rabunkowych?

– Nie, panie.

– A więc ci ludzie zostali oczernieni i jako niewinni muszą zostać puszczeni wolno. Rozwiążcie postronki i uwolnijcie ich.

Łatwo sobie wyobrazić radość, jaka zapanowała! Kobiety znów rzuciły się ku niemu, by całować w rękę, a naczelnik nie przepuścił okazji, żeby o ile były piękne i młode, kilkoma ruchami rąk dać dowód swojego hołdu dla ich urody.

Nagle jeden z policjantów wystąpił naprzód i oznajmił:

– Jaśnie wielmożny panie, mam coś na sumieniu. Muszę wyznać jaśnie wielmożnemu panu, że co prawda wszystko przeszukaliśmy i nie znaleźliśmy niczego. Musimy jednak naszą robotę wykonywać zgodnie z przepisami, nawet jeśli jesteśmy całkiem pewni, że ci ludzie są niewinni.

– Mówże wreszcie, do diabła, czego właściwie chcesz. Nie rozumiem cię – mruzczał naczelnik.

– Tak, jaśnie wielmożny panie, na podwórku nie przeszukaliśmy jeszcze tej góry śnieżnej. Przecież może być tak, że on został tam ukryty.

– No niech wam będzie, przeszukajcie jeszcze górę śnieżną – obojętnie rzucił naczelnik. Spokojnie zasiadł znowu do stołu i zajął się protokołem.

Kiedy po chwili podniósł wzrok, policjant wciąż jeszcze tkwił przed nim i nikt nie zdradzał zamiaru zdjęcia chłopom postronków z rąk. Po chwili podwładni otrzymali należną burę i naczelnik jak najsurowiej rozkazał natychmiast uwolnić „tych zacnych ludzi”.

Policjanci jednak nie usłuchali rozkazu. Jeden z dwóch urzędników przy stole podniósł się za to i kłaniając się po wielokroć powiedział:

– Jaśnie wielmożny pan wybaczy, ale jako naczelnik musi pan pójść z ludźmi, którzy będą przeszukiwali śnieg. Dopiero wtedy podejrzeni będą mogli zostać uwolnieni.

– Tak? – odparł naczelnik, mocno zdziwiony. – Czy tego wymaga prawo? No tak, skoro tego wymaga prawo, nic nie można zmienić. Chodźmy więc.

Wszyscy wyszli na podwórko.

Przez ten czas zrobiło się już ciemno. Policjanci świecili latarniami i palącym się łuczywem, a chłopci stojąc obok przyglądali się, jak góra śniegu, której wierzchnia warstwa dopiero świeżo napadała, nikiem pod rozgarniającymi ją łopatami.

Ponad połowę śniegu odgarnięto i niczego nie znaleziono, aż tu nagle jeden z policjantów natrafił na coś twardego.

– Och! – zawołał. – Jaśnie wielmożny panie, proszę podejść tutaj. Mamy coś podejrzanego!

Naczelnik zbliżył się niechętnie.

Policjanci z zapalem rozgarniali dalej.

Wtem ukazały się dwie ludzkie nogi.

Chłopci skamienieli.

Nie wierzyli własnym oczom.

Teraz również ponad pokrywą śnieżną ukazały się ręce, dwie kurczowo zaciśnięte w pięści dłonie, pobrudzone zakrzepłą krwią. Potem zaś cały, zaledwie w kilka szmat obleczony skamieniały trup, którego roztrzaskana czaszka uniemożliwiała rozpoznanie.

Naczelnik pozwolił sobie teraz na zdjęcie maski przyjaciela ludzi. Wrzasnął na starego Kazanowa:

– Ty psie! Ty bydlaku! Ty chcesz oszukać urzędnika!

I kiedy stary chciał coś na to odpowiedzieć, uderzył go w twarz z taką siłą, że ten wiekowy człowiek zatoczył się i upadł w śnieg.

Zwłoki zanesiono przed chałupę. Kobiety lamentowały. Naczelnik i jego ludzie szaleli. Na oślep bili chłopów. Wszystkich mężczyzn z rodziny skuli łańcuchami: starego Kazanowa, Karpa Iłarionowicza, nieszczęśliwego pana młodego i jego czterech braci.

Zapadła już późna noc, kiedy dano rozkaz wymarszu. Więźniowie przypominali dzikie zwierzęta, przykute do żelaznych żerdzi. Zawsze po dwóch – tak mieli pokonać liczącą wiele wiorst drogę, wśród śniegu, do najbliższego położonego więzienia, kiedy nagle zebrani wpadli na szczęśliwy pomysł, żeby przedstawicielowi prawa wsunąć do kieszeni 500 rubli.

Sprawiło to, że nieco zmiękło serce zacnego pana i odwróciwszy się do swoich ludzi oznajmił:

– Na pewno są to hultaje, ale przecież zawsze trzeba postępować po chrześcijańsku. Ubolewam nad nędzą kobiet i dzieci. Miejcie litość i pozwólcie przestępcom pojechać ich własnymi saniami.

Kiedy Marfa Pietrowna pożegnała się już ze swoim młodym mężem, tak, że aż serce pękało, gdy więźniowie wśród biadania swoich bliskich zostali umieszczeni na saniach, a obok nich zasiedli policjanci z naładowanymi karabinami i obnażonymi bagnetami, wówczas i naczelnik wsiadł na swoje sanie w towarzystwie obu świadków.

Kobiety otoczyły go szlochając i prosząc, by zechciał się ulitować nad losem mężczyzn i postarał się o to, aby nie skazano ich na najcięższe kary i żeby nie zostali zesłani do kopalń, skąd nikt nie wraca.

Jak prorok spojrział na nie z góry, podnosząc w grymasie bólu swoje krzaczaste brwi.

– My wszyscy, moi kochani – wykrzyknął patetycznie. – My wszyscy jesteśmy w rękach Boga. Nie traćcie odwagi. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Ale jednakże – dodał, kiedy sanie ruszyły. – Wy też nie możecie beczynnie czekać z założonymi rękoma.

Mało zostało powiedziane, lecz znaczyło wiele. I zostało prawidłowo zrozumiane.

2.

Jeszcze zanim minął następny dzień, Karp Iłarionowicz znalazł się wraz ze swoim ojcem i czterema braćmi w więzieniu.

Zanim dwaj chłopci, którzy musieli jako świadkowie z nimi pojechać, ruszyli w drogę powrotną, poszli do naczelnika, żeby się pożegnać. Zostali uprzejmie przyjęci i nawet ugoszczono ich herbatą. Dodało im to odwagi, więc spytali, jaki los czeka ich ziomków.

– No cóż, jaki on też może być? – obojętnie odpowiedział naczelnik. – Knut, tak około 50 uderzeń, a potem na katorgę.

Chłopci potrząsali głowami, przeżegnawszy się.

Wreszcie jeden z nich zapytał:

– Jaśnie wielmożny panie, czy też nic a nic nie można im pomóc? Przecież to naprawdę dobrzy chrześcijanie, pobożni ludzie. Jeden Pan Bóg wie, jak mogło dojść do tego nieszczęścia.

– Jesteśmy po to powołani przez cara, żeby karać ludzi, jeżeli zrobią coś złego. Nie wiemy nic ponadto i niczego nie wolno nam wiedzieć – odparł naczelnik, ale zrobił przy tym minę, która ośmieliła chłopów na tyle, że rzucili mu się do 25 nóg i błagali.

– Jaśnie wielmożny panie, zechciejcie po dobroci wysłuchać waszych poddanych. Ci ludzie przecież nie są biedni i na pewno poświęcą cały swój majątek, żeby uratować swoich.

Naczelnik zmarszczył czoło, pokiwał głową, uśmiechnął się dwuznacznie i powiedział:

– Wstańcie. Zapewne można by coś zrobić, ale jest ich za wielu, wszyscy o nich wiedzą. Gdyby to wyszło na jaw, byłbym zgubiony wraz z moją rodziną! Co o tym myślicie? Co, hę?

– Któżby wielmożny panie odważył się was, którzy przecież jesteście naczelnikiem, zganić? Jaśnie wielmożny pan jest panem i może zrobić wszystko, jeśli tylko zechce!

– W rzeczy samej... oczywiście... ale coś wam powiem... Idźcie do domu, zobaczmy.

Chłopi pokłonili się bardzo nisko, przeżegnali się i poszli.

Odtąd naczelnik nie krył się już ze swoimi życzeniami.

Po kilku dniach młodsza z niezamężnych jeszcze siostr Karpa Hłarionowicza musiała się zameldować w kancelarii pana naczelnika i pozostała tam jeszcze przez wiele godzin. Kiedy z niej wyszła, policzki jej były pąsowo czerwone, a oczy wpatrzone w podłogę.

Wieczorem musiała swoje odwiedziny powtórzyć, przy czym wypito kilka butelek dobrego koniaku. Późną nocą, zataczając się, opuściła biedna pokój i powróciła do domu.

W następnych dniach do obór i stajen naczelnika zaganiano całe stada bydła, po czym także druga z siostr spędzała długie godziny na rozmowach w prywatnym pokoju wysokiego urzędnika. Trwało to aż do momentu, kiedy wszystko, co ci ludzie posiadali i co życzliwi, chętni do pomocy sąsiedzi pożyczycy, powędrowało do miasta.

Naczelnik jednak wciąż jeszcze nie był nasycony ani zadowolony. Pewnego dnia również Marfa Pietrowna, młoda żona Karpa Hłarionowicza została aresztowana i zaprowadzona do więzienia, gdyż była podejrzana o to, że wiedziała o zbrodni.

Po paru dniach, które tam spędziła, dozorca przynoszący jej chleb i wodę, zaczął ją pouczać.

– Jaśnie wielmożny pan jest okropnym człowiekiem – przestrzegł. – I kiedy wpada we wściekłość, to niech Pan Bóg ma nas w opiece! Ale młode kobiety, takie piękne jak ty... jeśli się do niego przymilają... rozumiesz mnie, prawda... Dla nich robi wszystko! Jeśli obiecasz, że coś mu podarujesz... Powiem jego sekretarzowi, że chcesz rozmawiać z jaśnie wielmożnym panem, powiem mu... No cóż...

Nie skazuj siebie i do tego jeszcze swoich... Zrób wszystko, czego żąda, słyszysz? W przeciwnym razie od razu będzie wściekły jak pies i wtedy... Wtedy niech was Bóg strzeże i jego święta Matka.

– Tylko spróbuj! Nie waż się! – krzyknęła na dozorcę Marfa Pietrowna, z błyszczącymi oczami. – Ani mi się waż! Niech poszuka sobie innych bab. Mnie nigdy do tego nie nakłoni!

Stary, mocno zdziwiony, rzucił na nią złe spojrzenie i wyszedł. W drzwiach jeszcze odwrócił się i przestrzegł: – Ty nie bądź taka ważna, dobrze? Już on załatwi, że spokojniejsz. Ma swoje sposoby!

Ręką wykonał przy tym gest taki, jakby machał różgami, spojrzał na nią złośliwie i zniknął.

* * *

Po kilku dniach Marfę Pietrowną zaprowadzono przed oblicze naczelnika. Policzki jej stały się blade od więziennego powietrza, zmartwienia i strachu, ale duma pozostawała niezłomna.

Na jeden gest ręki policjanci, którzy ją przyprowadzili, zniknęli.

– Jakżeś ty się nazywałaś? – zagadnął ją szef policji.

– Marfa Pietrowna po ojcu, a Muranowa to moje nazwisko.

– A tak, prawda: Marfa Pietrowna. No, usiądź tutaj.

Marfa posłuchała, nie podnosząc wzroku. Przez okno wpadało jasne światło dnia i oblewało całą jej postać. Była urodziwa, prawdziwie syberyjska wiejska piękność.

Naczelnik przebiegł po niej pożądlivym spojrzeniem i spytał:

– Dlaczego nie spojrzysz na mnie? Chciałbym zobaczyć twoje oczy... Podobają mi się...

Marfa milczała, ale z jej twarzy bił upór, nozdrza jej się rozszerzyły, a policzki pokryły ciemnymi plamami.

Naczelnikowi krew uderzyła do głowy. Pochylił się, aby jej się przyjrzeć, a ona mu się sprzeciwiła? Ręce mu zadrżały, żeby uderzyć i tak długo bić, aż zmięknie.

Powstrzymał się jednak jeszcze.

– Marfo Pietrowna, czy chcesz być dla mnie dobra? – zapytał po chwili.

Nie odpowiedziała.

– Czyżbyś nie wiedziała, że musisz mi odpowiedzieć, jeżeli cię o coś pytam? Jestem przecież twoim panem i mogę z tobą zrobić, co będę chciał.

Kąciki jej ust zadrżały, ale milczała.

– A jeżeli zażadam od ciebie całusa?

Oczy jej zabłyśły i naczelnikowi zdawało się, że tłumi w sobie odruch odrazy.

Teraz dała znać o sobie tkwiąca w nim bestia. Chwycił ją za podbródek, zadął głowę i spojrział dziko w jej na wpół otwarte oczy, które nagle napełniły się łzami.

– Bądź mi uległa! – krzyczał. – A wszyscy będziecie wolni... Jeśli nie... Stanie się nieszczęście!

Marfa Pietrowna płakała. Drżenie, podobne do skurczów nie pozwoliło jej mówić.

Nagle wyrzuciła z siebie szlochając:

– Nie mogę. Mój mąż! Moje sumienie mi nie pozwala!

Gdy dostrzegła, jak jego czoło marszczy się, a twarz staje się podobna do dzikiego drapieżnika, krzyknęła: – Litości.

Naczelnik szalał jednak jak obłąkany.

Parę chwil – i zdarto z Marfy ubranie. Dwóch policjantów złapało ją, a dwóch innych tak okładało jej ciało razami, że wystrzępili całe pęki różeg. Naczelnik policji stał obok i nogą wystukiwał takt razów. Krew ciekła po nagim ciele, a ona krzyczała w paroksyzmie bólu, ale nikt jej nie słyszał.

– Mocniej! Silniej! – wrzeszczał potwór. Potem rozkazał przerwać i odesłał policjantów...

* * *

Naczelnik wpadł w szał. Wściekły jak rażona bestia kazał męczyć chłopów i obijać ich knutem.

Kiedy usłyszała o tym matka Marfy, była oburzona zachowaniem córki. Jakżesz mogła ważyć się opierać jaśnie wielmożnemu panu, który przecież zastępuje cara. Inna jej córka wzięła Marfę Pietrowną w obronę i oznajmiła, że przecież przysięgała swojemu mężowi przed Bogiem przy ołtarzu dozgonną wierność, więc powinna tego przestrzegać.

W matce wzbierała jednak złość. Biadała: – Bogu niech będzie chwała. Niech Bóg będzie w niebiosach, a car na tronie.

Nic na to nie da się poradzić.

W końcu sama pojechała do miasta, by upartej córce, która całą rodzinę wpędziła w nieszczęście, zmyć głowę.

Jednak jej pomoc nie była już potrzebna. Przewidywanie strażnika więziennego spełniło się: Marfa Pietrowna spokorniała.

Również stary Kazanow nie wytrzymał káźni i aby przynajmniej wybawić swoich z cierpień, sam dobrowolnie przyznał się do popełnienia morderstwa w celach rabunkowych.

Przesłuchania jednakże nie przeżył.

Mimo to jednak naczelnik postarał się, żeby sprawa ciągnęła się jeszcze przez wiele miesięcy, póki nie miał dosyć Marfy. Dopiero wtedy wypuszczono więźniów na wolność, bo i tak już niczego nie dało się z nich wycisnąć.

* * *

3.

Nieszczęśnicy wracali w swoje rodzinne strony złamani na ciele i duchu. Stodoły i obory zastali puste. Nawet odrobina ziarna nie pozostała na nowy zasiew.

Karp Iłłarionowicz, wracając do gospodarstwa ojca, dokąd przed paroma miesiącami jako bogaty i szczęśliwy mężczyzna chciał wprowadzić młodą żonę – stał się żebrakiem.

Miał naturę, której nie można było do niczego nakłonić ani zmienić. Jak wszyscy sybiracy, był fatalistą, jeśli chodziło o sprawy, które osobiście go nie dotyczyły. Niesamowita niesprawiedliwość, jakiej dopuszczono się wobec jego rodziny, nawet strata własności, którą dziedziczył – wszystko to mógłby zapewne przeboleć. Zdarzyło się jednak coś więcej i z tym nie potrafił się pogodzić.

Co prawda nie wiedział jeszcze, co podczas jego uwięzienia działo się z Marfą Pietrowną. Domyślał się jednak, dlaczego chodziła wokół ze spuszczoneymi oczami i jak tylko mogła, unikała go w popłochu.

Otępiaty rozmyślał, siedząc na przypiecku i wodził za nią pytającym wzrokiem tak długo, aż nie mogła już tego znieść.

Pewnego dnia wszystko mu powiedziała i pokazała ledwie co zabliznione rany na swoim ciele.

Niemo siedział przy niej, pojękując czasami.

Przyjaciele i krewni złożyli się, żeby kupić mu wszystko, co w gospodarstwie najbardziej potrzebne. Lecz Karp Iłłarionowicz nie nadawał się już do niczego.

Żona starała się znów do niego zbliżyć. Ale wcale jej nie odpowiadał, gdy mówiła, nawet nie podnosił głowy, a nocą przewracał się obok niej bezsennie na swoim legowisku.

Sąsiedzi widzieli w tym przygnębieniu chorobę, której nabawił się w więzieniu. Niektórzy przyznawali rację opowieściom Iwanowej, że Karp Hłarionowicz został z powodu swojej siły i urody zaczarowany przez wędrującą bandę Cyganów i że wszystko jest skutkiem rzuconego uroku.

Karp Hłarionowicz rozmyślał dniami i nocami. Na różne sposoby próbował pogodzić się z wydarzeniami i uznać je za karę boską, która wymierzona została jemu i jego szczęściu, aby sprawdzić i umocnić jego wiarę. W tym również nie znalazł pociechy, więc dojrzewała w nim myśl, żeby się powiesić.

Marfa Pietrowna podejrzewała, co się w nim dzieje i czuwała nad nim troskliwie, więc na razie nie mógł spełnić swojego zamysłu. Około lata zyskał sobie jednak więcej swobody. Sprawiał wrażenie, jakby znowu bardziej aktywnie brał udział w codziennym życiu i potrafił tak ludzi żonę, że pozwalała mu na wielogodzinne wyprawy do lasu.

Pewnego dnia w czerwcu nie wrócił do domu. Marfa Pietrowna przeszukała wszystkie pobliskie lasy. Cała wioska pomagała niešťczęsnej kobiecie. Nie natrafiono nigdzie na żaden ślad.

Karp Hłarionowicz Kazanow przepadł bez wieści.

* * *

4.

Powodem, dla którego Kazanow tego czerwcowego dnia nie wrócił do domu było następujące zdarzenie.

Właśnie kiedy miał zamiar wdrapać się na drzewo, aby przywiązać do niego sznur, który już przedtem tam schował, usłyszał kroki. Próbował szybko ukryć sznur, ale zaskoczyło go przy tym kilku ludzi, którzy ku jego wielkiemu zdziwieniu nie byli z wioski, lecz obcy.

Powitali go uprzejmie i wyjaśnili, że są wędrownymi pątnikami i bigotami, którzy zgubili towarzyszy i zabłądzili w lesie. Pewna dróżka wiodła ich od wielu godzin tam i z powrotem, aż wreszcie przez polankę zobaczyli jego i przyszli, żeby spytać o drogę.

Karp Hłarionowicz słuchał ich ze zdziwieniem.

– Dokąd idziecie z pielgrzymką? – spytał nagłe.

– Do świętej Matki Boskiej z Peczerska. Nie znasz jej? Cudami zasłynęła na całym świecie.

Przysiedli na mchu i opowiadali o cudach słynnych celów pielgrzymek. Kiedy już dostatecznie wypoczęli i nagadali się, poprosili

Karpa Hłarionowicza, żeby wskazał im drogę, która wyprowadzi ich z lasu.

On tłumaczył jednak, że od dawna marzył, żeby zobaczyć wszystkie te cuda na własne oczy. Jeżeli nie mieliby nic przeciwko temu, chciałby teraz skorzystać z okazji i powędrować z nimi.

Ludzie ci bardzo się ucieszyli, przeżegnali się po trzykroć bijąc głębokie pokłony, zwróceni ku zachodowi, przerzucili sobie przez ramię swój ubogi dobytek i ruszyli.

Karp Hłarionowicz dostrzegł w przypadku, który ocalił mu życie, palec Opatrzności i okreśną drogą wyprowadził ich tak szybko, jak to było możliwe z okolicy, w której był znany. Po kilku dniach oddalili się już tak bardzo od jego wioski, że nie musiał się obawiać odnalezienia go.

Taka była zatem przyczyna, że żona szukała go nadaremnie, a po pewnym czasie starosta ogłosił, że został on uznany za zaginionego. Marfa Pietrowna długo jeszcze nie potrafiła przestać go opłakiwać.

Wreszcie jej ból nieco ustąpił i zaczynała nawet o nim trochę wspominać, gdy nagle została znowu aresztowana i wtrącona do więzienia. Powodu nie znał nikt, mówiono tylko, że naczelnik, wychodząc z mszy wielkanocnej, został zamordowany przez wędrownego pątnika.

* * *

5.

Karp Hłarionowicz wędrował z pielgrzymami z wioski do wioski, z miasta do miasta. Modlił się we wszystkich klasztorach, we wszystkich świętych miejscach padał na ziemię, aby przed świętymi cudotwórcami wypłakać swoje żale i prosić ich o zemstę za niesprawiedliwość, jaką mu wyrządzono.

Z początku rzeczywiście go to uspokajało. Wkrótce jednak powróciły straszne męki, które pożerały go od wewnątrz. Nigdzie nie znalazł spokoju, nic nie potrafiło go uwolnić od koszmarnych wspomnień.

Dalekie podróże, spotkania ze wszelkiego rodzaju ludźmi, ich opowieści, wszystko to wywarło na niego wpływ. Stał się mądrzejszy, mocniej obeznany ze sprawami świata i roztropniejszy. Z dużą uwagą przysłuchiwał się rozmowom pielgrzymów przybyłych do świętych miejsc ze wszystkich stron świata i zapewne przy takich okazjach powstała w nim myśl, żeby powrócić do rodzinnych stron i zemścić się za krzywdę, jakiej doznał.

Pomysł ten wyzwolił go całkowicie i natychmiast od udreń serca. Już po paru dniach przywykł do tej myśli i przygotował plan działania.

Przebywał wtedy w Kijowskiej Ławrze, najświętniejszym w tym mieście miejscu pielgrzymek. Całymi dniami i nocami leżał przed ołtarzem, modląc się o powodzenie swojego planu zemsty, aż do momentu, kiedy utrwaliło się w nim przekonanie, że święci cudotwórcy sami podsunęli mu ten pomysł, ponieważ ma stać się narzędziem Bożego sądu karnego.

Modląc się i poszcząc, przygotował się do wykonania tego boskiego zadania, pożegnał się ze swoimi towarzyszami i udał się w drogę powrotną w rodzinne strony.

* * *

Po mniej więcej pół roku pojawił się w mieście, w którym kiedyś dotknęła go wielka niesprawiedliwość.

W dzień świętego Poniedziałku Wielkanocnego cerkiew była wypełniona wiernymi.

Przecisnął się do przodu i pośród niezliczonych pokłonów modlił się przed ołtarzem, a kiedy pop we wspaniałym ornacie ze świętym krzyżem ogłosił: „Bóg zmartwychwstał” – przesunął się pośród tłumu naprzód, byle tylko nie stracić błogosławieństwa boskiego, Boga, który uczynił z niego apostoła i narzędzie swojej zemsty.

Za popami i diakonami, wśród najznakomitszych urzędników, do Domu Bożego wszedł także naczelnik. Jego błyszczący mundur był cały pokryty orderami.

Kazanow przepuścił go ze spokojem. Kiedy jednak procesja się skończyła, wyrósł pośrodku przejścia, gdzie tkwiło wielu pielgrzymów i żebraków, oczekujących na datki od współwyznawców.

Ceremonie dobiegły końca. Ludzie przeciskali się do przejścia, by jak najszybciej powrócić do domu i ogłosić rodzinie i przyjaciółom trzykrotnym zawołaniem, że „Chrystus zmartwychwstał”.

Kazanow stał z błyszczącymi oczami i czekał na krzywdziciela i gwałciciela swojej żony. Trzymając rękę na uchwycie noża, mechanicznie mruzczał modlitwy.

Gdy wreszcie podszedł naczelnik, Kazanow doskoczył do niego jak postrzelona pantera. Wykrzyknął jak z głębi swoich trzewi: – Zbójca! Morderca!

Zaczął się straszny tumult. Pospieszyli policjanci i Kozacy. Oszałałego pielgrzyma, który klęczał na otyłym naczelniku i wciąż jeszcze wbijał w niego nóż, oderwali od ciała i założyli kajdanki.

Pozwalał na to, nie stawiając oporu i nie wypowiadając ani słowa. Aż do chwili, kiedy usłyszał doktora stwierdzającego:

– Nic tu nie pomogę, on nie żyje.

Wykrzyknął wtedy: – Dziękuję ci Boże, Panie mój!

* * *

Marfa Pietrowna, która została aresztowana jako „współwiedząca” zmarła tym razem w więzieniu, zanim jeszcze dochodzenie się skończyło. Karp Iłarionowicz został skazany na 25 razów knutem oraz na zesłanie do kopalń, a wyrok jeszcze zaostrzono tak, że do końca życia miał pozostać w więzieniu przykuty łańcuchami do ściany.

* * *

6.

Poznałem go, kiedy w Ussoli oddaliłem się zbyt daleko od swojego mieszkania i za to przestępstwo zostałem zakuty w łańcuchy. Ponieważ w więzieniu brakowało innego miejsca, wsadzono mnie do jego celi. Dopiero po interwencji przyjaciół u generalnego gubernatora w Irkucku zostałem 10 dni później zwolniony.

Jeszcze dziś mam przed oczami tę wysoką, długą, brunatną, brudną dziurę.

Na wysokości może dwóch metrów wmurowano w ścianę żelazny pręt. Pośrodku tego pręta, na grubym haku, przytwierdzono ciężki łańcuch. Dalej zaś łańcuch ten prowadził do prawej kostki nogi.

Granice możliwych spacerów Kazanowa wyznaczał od szesnastu lat półokrąg wydeptany w ceglanej podłodze na wysokość kostek. W obrębie tego półokręgu, pod ścianą, leżała kupa przegniłego siana, które miało być jego legowiskiem.

W zadzumionym powietrzu z jego ciała, pokrytego grubą na palec warstwą brudu, pozostał tylko szkielet. Jadł niewiele, ale tym więcej pił wody, bywało, że Kozacy z wartowni dawali mu szklanę. Odczuwali rodzaj respektu dla tego „pielgrzyma”, który śpiewał tak żalosne pieśni kościelne, że aż ścisnęło się serce.

Pomimo doznanych cierpień, Karp Iłarionowicz czuł się całkiem dobrze. Wciąż wierzył, że czyn jego zostanie kiedyś doceniony.

– Jeśli nadejdzie odpowiedni czas, oświecony car dostrzeże, że byłem tylko narzędziem w rękach Boga i uwolni mnie – tak sądził i ta wiara była jego zbawieniem.

Kiedy go opuszczałem, płakał, pocieszał się jednak tym, że przecież się niedługo znowu zobaczymy.

Po kilku latach rzeczywiście wybawiono go od przebywania w dotychczasowej celi, ale tylko po to, by zamknąć go w jeszcze ciśniejszej. Suchoty więzienne wyznaczyły kres jego cierpieniom.

Aż do ostatniego tchnienia miał nadzieję, modlił się i śpiewał hymny kościelne z żałosnymi, zawodząco brzmiącymi motywami.

Śmiejący się Iwan

1.

Kiedy po opuszczeniu kopalni zostałem wezwany do Irkucka, aby w biurze życzliwego generalnego gubernatora przyjąć posadę urzędnika, z której zresztą później na rozkaz administracji centralnej znowu musiałem zrezygnować, zacząłem szukać mieszkania z ogrodem.

Ze względu na stan zdrowia przyzwyczailem się mocno do wczesnego wstawania, a potem o poranku zajmowałem się czymś na powietrzu. Ponadto nosiłem się z zamiarem przeprowadzenia doświadczeń, mających pokazać, które z naszych środkowoeuropejskich roślin zdofają się zaaklimatyzować we wschodniej Syberii.

Po długich poszukiwaniach znalazłem wreszcie to, czego szukałem. Stary dom stał przy ulicy, która nie należała do najpiękniejszych w mieście. Skoro jednak gospodarze chętnie przystali na to, żebym mógł bez ograniczeń korzystać z obszernego ogrodu, wybrałem to miejsce.

Gdy tylko zima się skończyła i ziemia rozmarzła na kilka cali, zacząłem swoje prace, które wykonywałem przez całe lato codziennie od 4 do 6 rano.

Jedna strona ogrodu graniczyła z wąską uliczką, przy której pomieszkiwał najbiedniejszy proletariat miasta. Oficjalnie uliczka nazywała się „Ciemna”, ale z powodu zanieczyszczeń i głębokich kałuż, które pojawiały się po najmniejszym nawet deszczu, ludzie określali ją jako „Śmieciowisko”, a więc nazwą o wiele brzydszą. Ogradzała ją płot bardzo stary i miejscami tak przegniły, że stanowił żalosną i niewystarczającą przeszkodę dla niepożądanych wizyt okolicznych psów i świń.

Pewnego ranka, gdy byłem zajęty okopywaniem jednego z zagonów, od strony uliczki Ciemnej usłyszałem głos ludzki, który jak mi się zdawało ofiarował swoją pomoc. Spojrzałem w górę i zauważyłem twarz, która w bardzo dziwny sposób uśmiechała się do mnie ponad płotem. Przez chwilę jej się przyglądałem, ale ona nieprzerwanie się do mnie uśmiechała. Wreszcie podszedłem bliżej i zoba-

czyłem tkwiącego na spróchniałych sztachetkach płotu całkowicie zmizerniałego osobnika.

– Kim jesteś? – spytałem.

– No kimże niby? – śmiał się. – Waniucha oczywiście. Kim innym miałbym być? He, he, he...

Mimowolnie również zacząłem się śmiać, chociaż jego rechot wcale nie wydawał mi się aż tak zabawny.

– O co chodzi, Waniucha? – pytałem dalej. – Nie rozumiem cię dobrze.

Teraz dopiero naprawdę zaczął się śmiać, aż łzy napłynęły mu do oczu.

– Panie, o panie – poprosił w końcu, kiedy się już odrobinę uspokoił. – Dasz mi trochę tytoniu do fajki?

Poszedłem po swój woreczek i dałem mu pełną garść. Ze świecącymi oczami i roześmianą twarzą sięgnął po tytoń. Ledwie jednak wziął go do ręki, natychmiast zamknął dłoń, zeskoczył z płotu i uciekł tak szybko, jak tylko potrafił. Zaskoczony patrzyłem za nim, obserwując każdy jego ruch. Przy najbliższym rogu odwrócił w moim kierunku roześmianą twarz, jakby chciał się upewnić, czy nie pobiegłem za nim, żeby odebrać mu ten dar. Potem zniknął. Ale jego śmiech długo jeszcze pobrzmiwał mi w uszach.

Następnego dnia, prawie o tej samej godzinie i w tym samym miejscu, usłyszałem jak ktoś śpiewa za płotem rosyjski hymn kościelny: „Boże, bądź miłościw”.

Śpiewak najpewniej chciał w ten sposób zwrócić na siebie moją uwagę. Skoro nikogo nie widziałem, postanowiłem podejść bliżej. Nim jednak doszedłem do płotu, wdrapał się na jedną z dolnych belek, ściągnął futrzaną czapkę, którą nosił pomimo temperatury 20 stopni Reamura i zaśmiał się do mnie.

– No, Waniucha, czy to ty? – zawołałem, wdrapując się na górę kompostu, żeby go lepiej widzieć.

Iwan śmiał się.

– Tytoń zapewne ci smakował.

– O tak, panie, bardzo – odpowiedział z lekka uśmiechając się, po czym zaczął rechotać ze wszystkich sił.

Skorzystałem z okazji, żeby mu się przyjrzeć dokładniej. Sprawiał wrażenie żebraka najgorszego gatunku, całkowicie wyniszczonego. Dwa stare, zdezelowane buty z cholewami – jeden pochodził zapewne od chłopca, a drugi od więźnia – kłapały mu na nogach. Marne

ubranie uzupełniała czapka futrzana i brudne spodnie z płótna, na których paskiem przewiązana była koszula. Twarz miał okrągłą, płaską i całą zarośniętą siwą brodą i jeśli pominąć pewną dozę rysującą się na niej przebiegłości, bez szczególnie wyróżniających cech.

– Długo już jesteś tutaj, na Syberii? – zapytałem.

– Na Syberii – uśmiechał się szyderczo. – He, he, he, tak na Syberii! – więcej nie mógł z siebie wydobyć. Zdawało się, że dopadł go prawdziwy szal śmiechu.

Jego rechot był podobny do płaczu upartych dzieci, które w takim stanie czasem przez wiele minut nie mogą zamknąć ust. Oczy jego były zaciśnięte i między rzęsami błyszczały łzy. Ponieważ trzymał się płotu tylko jedną ręką i nogą, podczas gdy drugą nogę i rękę, w której trzymał futrzaną czapkę, wyciągnął daleko od siebie, prawie szybował w powietrzu. Jego wstrząsane śmiechem ciało przedstawiało całkiem niesamowity obraz.

Tym razem nie zawtórowałem jego śmiechowi, który dziś wydał mi się jeszcze bardziej podejrzany, niż poprzedniego dnia. Zdawało mi się, że wcale nie jest taki głupi, jakiego udawał. Przyglądałem mu się ostro i badawczo, a gdy tylko to spostrzegł, odchylił głowę tak bardzo do tyłu, że mogłem widzieć tylko jego brodę i kawałek nosa. Zaniechałem więc wpatrywania się w niego i postanowiłem w inny sposób coś z niego wydobyć.

– Czy znowu chciałbyś dostać tytoń, Iwanie? – spytałem.

Błyskawicznie przestał się śmiać i przyciskając futrzaną czapkę do piersi oraz przewracając oczami, jakby klęczał modląc się przed ikoną, odpowiedział:

– W imię Jezusa Chrystusa, podarujcie mi. Bądźcie tak dobrzy.

Oczy jego pozostawały wilgotne od łez, które wycisnął śmiech i które do jego obecnej maski bardzo pasowały. Zaś że to wszystko było tylko maską, nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości.

Przyniosłem mu tytoń, a on wziął go tym razem bez śmiechu, również nie uciekł. Spokojnie zszedł z płotu, nasadził czapkę na głowę, zza rozpiętej na piersi koszuli wyciągnął kawałek papieru gazetowego, zrobił sobie z niego skręta i napchał go tytoniem. Potem także zza koszuli na piersi wyciągnął zapałkę i do niego przytknął.

Kiedy po pierwszym zaciągnięciu się, nie patrząc na mnie i nie podnosząc głowy, połknął dym, zapytał:

– A ty? Ty jesteś Polakiem?

– Tak.

– Tak, tak – zamruczał. – Tak też sobie myślałem – odwrócił się teraz ode mnie, gapił się w siną dal i palił. Nie spuszczałem z niego wzroku.

– Polacy to dobrzy ludzie – ciągnął po dłuższej przerwie.

– Bardzo szlachetni... Ale ciągle się buntują.

Znowu przerwał, a potem kiwając głową dodał: – Szkoda.

Obserwowanie tego człowieka stało się dla mnie bardzo interesujące. Widziałem człowieka zeszmaczonego, wyniszczonego, który tak bardzo okazał się wyzbyty godności, że z udawania pomyłonego uczynił sobie zajęcie zarobkowe, wykorzystując krótkowzroczność i dobroć otaczających go ludzi. Tak mogłem sobie wyobrazić jego sposób myślenia, rozumowania.

Muszę w tym miejscu zauważyć, że symulantów podobnego rodzaju jest na Syberii stosunkowo dużo, gdyż bratiszki, idioci z sekty bardzo rozpowszechnionej we wschodniej Syberii cieszą się tam okazywaną szczególnie czcią. Z tego powodu, że nieszczęśliwcy nie mogą grzeszyć, jak się powiada, uznawani są za błogosławionych i obsypywani darami, jałmużną oraz innymi dobrodziejstwami. Oczywiście bratiszki, ci dobrzy, są często oszukiwani i wykorzystywani, przez osobników stroniących od pracy, dostatecznie sprytnych, by grać komedię w miarę przekonująco.

Iwan pozostawał pod tym względem prawdziwym wirtuozem i prawie nie mogę uwierzyć, żeby ktoś, na którego dobroci serca mu zależało, kiedykolwiek podejrzewał, że jego idiotyzm był tylko udawaniem, przedstawieniem. Ciągle grał tę komedię, nawet przede mną, choć pewnie dawno musiał spostrzec, że go przejrzałem. Ale nadal z podziwu godną konsekwencją zachował swoją maskę.

W tej chwili jednak, gdy wykrzyknął swoje „szkoda” z tego powodu, że jestem Polakiem – pogubił się w roli. Zauważyłem, że nad czymś się zastanawia i mniej więcej w taki sposób przedstawia swoją grę: jako Rosjanin czuje się zobowiązany do tego, by mnie, Polaka, który występował przeciw jego carowi, nienawidzić, z drugiej jednak strony nie chciał przez to stracić prezentów, jakie spodziewał się ode mnie wyciągnąć.

– Nad czym tak rozmyślasz? – podjąłem znów po chwili rozmowę.

– Nad wszystkim – odpowiedział.

Nagle zwrócił twarz w moją stronę, ręką wykonał gwałtowny ruch w powietrzu i wykrzyknął:

– Wsio pustoje, wszystko jest próżne – i znowu zaczął się śmiać, głupio jak zwykle. Po chwili naciągnął sobie czapkę na oczy i mrużąc pod wąsem, odszedł zataczając się, jak gdyby był pijany. Zaraz potem zniknął w uliczce Ciemnej. Usłyszałem jeszcze raz jego mrużenie:

– Pustoje, pustoje.

Dopiero po wielu dniach zabrzmiał za płotem hymn kościelny. Widomy znak, że Iwan chciał mnie znowu zaszczyścić swoimi odwiedzinami. Podszedłem znowu do płotu.

Tym razem, kiedy widział, że nadchodzę, wcale się już nie śmiał i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby mnie powitać, zdjąć czapkę. Od razu zebrał o pięciokopiejówkę.

– Na co tobie pięć kopiejek? – zapytałem.

– Chciałbym wypić szklaneczkę koniaku.

– Koniaku? Niemożliwe. Po co ci on?

Nie dał się jednak zwieść i zebrał dalej:

– Bądź tak dobry, panie, daj mi piątaka.

– Nie mam nic przy sobie – powiedziałem, kiedy przez chwilę mu się przyjrzałem. – Wchodź ze mną do środka.

Cofnąłem się, a on przelał przez płot i podążył za mną do domu. W progu mojego mieszkania przystanął i zciekawiony zajrzał do środka.

Przyniosłem mu monetę i powiedziałem:

– Masz. Idź teraz i wypij za zdrowie twojego cara, który jest przyczyną tego, że znajdujesz się teraz w takim stanie, w jakim cię widzę przed sobą.

Wziął pieniądze, nie uciekł jednak, tak jak się tego spodziewałem, lecz rzekł:

– Nie, panie, car, jak ty sądzisz, nie jest winien mojemu nieszczęściu. Jego imperium jest ogromne, on nie może o wszystkim wiedzieć, jego urzędnicy są wszystkim winni.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Dziewczyna przyniosła samowar.

Jednak Iwan stał ciągle jeszcze, więc wpadła mi do głowy myśl, żeby zaprosić go na herbatę.

– Iwanie – zaproponowałem. – Czy chcesz wypić ze mną szklanekę herbaty?

– Jeśli twoja godność ci na to pozwala – mruczał, spoglądając na mnie podejrzliwie z boku.

– Chodź – powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. – Herbata u buntowszczyka nie jest gorsza, niż gdzie indziej. Chodź... Zostańmy przyjaciółmi. Cóż nas obchodzi car? On się przecież o nas także nie troszczy.

Pozwoliłem Iwanowi usiąść razem ze mną przy stole i nalałem herbaty do szklanki. Pił nie mówiąc ani słowa, ale dało się zauważyć, jak bardzo jest zaprzętnięty myślami. Dopiero przy czwartej szklance powiedział, ociągając się:

– Ja też nie zawsze byłem taki, jak teraz... Jakim mnie teraz widzisz, panie... Kiedyś byłem... – przerwał sam sobie w tym momencie przeciągłym, głębokim i bolesnym westchnieniem.

– No cóż, jaki kiedyś byłeś? – zapytałem.

– Och! – jęknął, robiąc przy tym taki ruch, jakby chciał przepędzić swoje myśli. – To było już tak dawno temu... Tak dawno! Zniknęło w przeszłości jak sen... Jak sen!

Zamilkł, nie pił już i wkrótce pożegnał się. Ponieważ obawiałem się, że niczego się nie dowiem, jeśli będę go zmuszał, nie zatrzymałem go. Kiedy odchodził, podał mi rękę i powiedział:

– Iwan, panie, nie zawsze się śmiał... Był kiedyś uczciwym człowiekiem i dobrym obywatelem... Ale to nieszczęście... Ale nieszczęście tak chciało!

Zamilkł. Łzy napłynęły mu do oczu, nic już nie mógł powiedzieć. Odwrócił się nagle i dławiąc w sobie szloch, odszedł.

* * *

2.

Przez następne dni padało bez przerwy, tak, że praca w ogrodzie stała się niemożliwa. Ale również wtedy, gdy zrobiło się już ładnie, po Iwanie nie było śladu. Dosłownie tęskniłem teraz za nim. Jego aluzje rozbudziły moją ciekawość, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego przeszłości. Jeżeli tylko udało mi się usłyszeć choćby najmniejszy szelest za płotem, pędziłem tam natychmiast. Ale to nigdy nie był Iwan. Nikt niczego o nim nie wiedział. Minęło lato. Iwan na dobre zniknął bez śladu.

Była już głęboka zima. Prawdziwa syberyjska burza śnieżna szalała na ulicach. Na sam widok tego, co działo się na zewnątrz, wstrząsało człowiekiem, o ile odważył się w ogóle wyjść. Właśnie zapaliłem fajkę i przemierzałem pokój tam i z powrotem, kiedy weszła służąca i dygając, powiadomiła, że ktoś chce ze mną rozmawiać.

– W taką pogodę – wykrzyknąłem. – Nawet psa by na taką pogodę nie wypędził... Niech wejdzie. Wpuść go do środka!

Wszedł posługacz ze szpitala, w bardzo zniszczonym ubraniu wojskowym i ku mojemu największemu zdziwieniu zakomunikował mi, że przybywa ze szpitala więziennego, bo pewien Iwan Smiesznoj przysłała go po mnie.

– Śmiejący się Iwan? – zapytałem zdumiony. – Co on robi w szpitalu?

– Umiera – odpowiedział sucho posłaniec.

– Ach, tak... Tak... A czego on sobie ode mnie życzy?

– Żeby go odwiedzić.

– W taką pogodę? Czy służysz w szpitalu?

– Tak... Jako palacz... To znaczy... Właściwie... To robi ktoś inny. Ale ponieważ zalał się w nocy i dostał baty... On już z pewnością wytrzeźwieje... Knutem, wie pan, no... więc musiałem go zastąpić.

Nie słuchałem już jego gadaniny, poszedłem do pokoju i przemierzałem go tam i z powrotem, zastanawiając się, jak można by spełnić prośbę Iwana. Przecież nie miałem nawet ciepłego okrycia... Na taką zawieruchę... A do szpitala była co najmniej godzina drogi.

Moje roztargnienie wcale mu jednak nie przeszkadzało, więc opowiadał dalej: Iwan podobno prosił już pozostałych posługaczy. Ale wszyscy się wykręcili. To przecież były brednie, jak sądzili. Jakie to znajomości mógł mieć włóczęga taki jak on? Lecz mój rozmówca miał serce tak dobre, że nie potrafił odmówić tej przysługi Iwanowi Smiesznemu. Wreszcie okazało się, że Iwan trochę się chwalił zażyłością ze mną, więc dobroduszny posłaniec oczekiwał ode mnie odpowiedniego napiwku.

Dzięki 25 kopiejkom wyswobodziłem się od jego gadulstwa. Oczywiście chciał jak najszybciej zniknąć. Zatrzymałem go jednak jeszcze i poleciłem, żeby postarał się o sianie, którymi mógłby pojechać do szpitala.

xxx

Dwie godziny później byłem już u śmiejącego się Iwana.

Szpital więzienny jak zawsze zimową porą pozostawał przepelniony. W długiej sali chorych brakowało choćby jednego pustego łóżka, a zapach, który tam się roznosił sprawiał, że można było zemdleć.

Usiadłem przy Iwanie i wyraziłem swoje współczucie.

Chwycił mnie za rękę. Całą jego dłoń pokrywał wilgotny zimny pot.

Długo nie dał rady mówić. Ale po jego oczach dało się poznać, jak bardzo ucieszyło go moje przybycie.

Wreszcie odezwał się:

– Jest pan szlachetnym człowiekiem... Tak, Polacy to buntowscy, ale...

Pocieszałem go i wcisnąłem dwa banknoty rublowe do ręki, żeby skrócić ten jego wstęp. Przekonany byłem, że tylko o nie mu szło.

Wziął je zupełnie mechanicznie i niezbyt uważnie słuchał, co mówiłem. Dopiero wtedy, gdy zebrałem się już od odejścia, wyciągnął w moją stronę suchą rękę i zaskrzeczał:

– Nie, nie! Nie odchodź panie... Musi pan zostać... Musi pan...

Kaszłał głośno.

Kazałem sobie przynieść stołek i siadłem obok niego.

– Niech pan słucha – szepnął i przyciągnął do siebie moją głowę. Dopiero kiedy moje ucho znalazło się blisko jego ust, zaczął opowiadanie. Często przerywał mu kaszel i utrata sił. Opowieść jego brzmiała w ten właśnie sposób:

3.

– Nazywam się Kaczugin... Po moim ojcu Kiryłowicz... Imię, jakie dostałem na chrzcie, naprawdę brzmi Iwan... Iwan Kiryłowicz Kaczugin... Pochodzę z guberni Kaługa. Mój ojciec był kościelnym w wiosce, która należała do niezwykle dobrego pana... Ponieważ ojciec mój należał do kościelnego stanu, wolno mi było uczęszczać do szkół... Gdy miałem 9 lat, posłano mnie do najbliższego seminarium... Ileż tam musiałem wycierpieć! Niesmaczne jedzenie, żałosne zakwaterowanie... I te baty... Przynajmniej dwa razy w tygodniu każdemu z nas przetrzepano skórę i zamykano o chlebie i wodzie.

Dopiero po dwóch latach mogłem pojechać na wakacje do domu. Zmizerniałem tak, że mało brakowało, a w domu by mnie nie poznali. Kiedy zobaczył mnie dziedzic... Lubił mnie, ponieważ byłem bardzo podobny do mojej matki... tak mi się wydaje, he, he... Była kiedyś największą piękną w okolicy. Kiedy mnie zatem zobaczył, ulitował się nade mną. Nie musiałem wracać do seminarium. Posłał mnie razem ze swoimi dwoma synami do gimnazjum. Uczyliśmy się razem w jednym oddziale i z początku wszystko układało się dobrze. Dla pańskich synków okazałem się kimś w rodzaju męczennika. Dlatego nic złego mi nie wyrządzili... Dopiero później zaczęło

być inaczej... Szczypano mnie, bito, poszturchiwano, gryziono, kluto igłami: wszystko ku ich uciesze...

W czasie wakacji poskarżyłem się ojcu... Dopiero usłyszałem reprimendę! Ale dobrze trafiłem...

– Co? – naskoczył na mnie. – Ty wyrzutku! Ty pomocie! Ty nicponiu, hultaju! Jesteś nihilistą? Poczekaj! Ja cię nauczę, jak się powinno dziękować jaśnie państwu... za tyle dobroci i szlachetności.

Wymierzał mi przy tym policzki, raz z lewa, raz z prawa... Szybko spostrzegłem więc, że nie mam racji. Bydło jest po to, żeby pracowało. I żeby je później zjeść – myślałem... No a my, biedni ludzie? Do czego jesteśmy potrzebni, to już panowie dziedzice wiedzą najlepiej... Bóg już tak to wszystko urządził... Człowiek niczego tu nie zmieni...

Po roku mniej więcej synowie naszego pana podjęli służbę wojskową... Zaś ja zostałem zatrudniony w pobliskim miasteczku... Jako pisarz w kancelarii.

Osiem albo dziewięć lat później zmarł nasz dziedzic. Najstarszy syn przyszedł do nas jako jego następca...

Wcale jeszcze nie był u nas długo, kiedy ku mojemu wielkiemu zdziwieniu posłał po mnie.

– No, Iwanie Kiryłowiczu, jak ci się wiedzie? – spytał dobrotliwie...

Z wielkim respektem opowiedziałem wszystko, co mi leżało na sercu. Przytakiwał mi uprzejmie. Pozwolił mi nawet potem usiąść obok siebie przy stole i poczęstował dobrą wódką. Jaki zaszczyt! Wreszcie mogłem odejść. Poklepał mnie po ramieniu i zapytał:

– Ty, Iwanie Kiryłowiczu, odwiedzisz mnie jutro znowu, nieprawdaż?

Rodzice prawie szaleli z radości, tacy byli dumni... Mają takiego rozsądnego syna!

Sam również się cieszyłem i czułem się niezmiernie podniesiony na duchu... A jakie miałem obmyślane plany na przyszłość! Cóż mnie bowiem wielkiego czekało jako pisarza na policji? Ciężka praca i niskie wynagrodzenie... Okazji do dodatkowego zarobku także nie było wiele. Najwyżej Żydzi wsunęli kilka rubelków do ręki... Ale ilu ich było w mieście?

A od innych nie dało się wiele oczekiwać...

Poza tym uwikłałem się w romansik... z Niuszą. Była bratanicą pewnego szewca i ciągle domagała się prezentów...

Właściwie miała rację. Ale skąd niby miałem je brać? Na dodatek przepięknie grała na bałabajce... A jak ona śpiewała!

Zaś jej usta były słodkie jak cukier... Oooch tak!

Iwan głęboko westchnął i dodał smutno:

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami.

Długo milczał aż widać było, że mówienie bardzo go wyczerpało...

– Czuję, że niedługo umrę – oznajmił, kiedy już trochę odpoczął. – Ale muszę się jeszcze pozbyć tego... Muszę się tego pozbyć!

Głęboko zakaszał. Kazałem mu podać wodę z cukrem. Wypił i opowiadał raz nieco swobodniej i żywiej, to znów z wysiłkiem łapiąc oddech. Rozprawiał dalej, krótkimi, niepełnymi zdaniami:

– Prawie nie mogłem się doczekać tej gadaniny... Wie pan? Dziedzic zaprosił mnie przecież ponownie... Mocno byłem zdenerwowany, kiedy poleciłem się zameldować. Ale on we własnej osobie wyszedł mi naprzeciw, uściśnął rękę i powiedział, że mnie oczekiwał... Niech pan pomyśli, taki zaszczyt!

Zdarzyły się jeszcze jednak zupełnie inne rzeczy... Kiedy wkroczyłem do salonu, cóż zobaczyłem? Piękną jak obrazek młodą damę, której pan mnie przedstawił jako swojego przyjaciela Iwana Kiryłowicza... Stałem oszołomiony... Taki biedny robak jak ja przyjacielem pana dziedzica! Przecież w stolicy był on wysokim urzędnikiem. Na pewno dosłużył się tytułu ekscelencji.

Wszystko zawirowało mi przed oczami. Przewróciłem kilka mebli, zaś potem, kiedy państwo poszli do stołu... wcale nie miałem pojęcia, co ze mną będzie, ale również zostałem doń zaproszony... Wskutek tak wielkiego zdenerwowania usiadłem obok krzesła i jak długi upadłem na ziemię... Wcale mi to jednak nie zaszkodziło. My, Rosjanie mamy twarde czaszki... A zwłaszcza kościelni!

Po tym, co się stało, dopiero poczułem się lepiej. Wstrząs mnie otrzeźwił... Przeprosiłem, bo przecież nie byłem przyzwyczajony zasiadać do stołu razem z tak wielmożnym państwem. Jednak oni uznali, że to nic nie szkodzi i zawołali Waśkę, służącego... Pan chwycił go mocno za uszy i skarcił:

– Dlaczego postawiłeś krzesło tak niezręcznie, ty świniou, że mój przyjaciel musiał usiąść obok?

Tak traktowano mnie przez cały wieczór.... Jedna uprzejmość za drugą...

Raz nawet wielmożny pan zapytał przepiękną młodą damę, czy nie uważa, że jestem piękny.

– Och, mój Boże, bardzo ładny – odpowiedziała.

Zrobiła przy tym przedziwne oczy...

Gdyby to mogła zobaczyć Niusza – wyobraziłem sobie w myślach.

– Pierwsze, co robisz po przybyciu do miasta, to jej o tym opowiesz. Ależ będzie zazdrosna!

Jaśnie państwo stawali się coraz bardziej uprzejmi... Służący usługiwali mi ze szczególną uwagą, specjalnie mnie wyróżniając... Kłaniali się w pas, jak prawdziwemu panu. Na sam koniec jednak nastąpiła największa niespodzianka:

– Ty, Iwanie Kiryłłowiczu, pojedziesz ze mną do Moskwy i to już pojutrze – zwrócił się do mnie znienacka pan...

Co? Ja do Moskwy... razem z moim panem? Wytrzeszczyłem oczy i otworzyłem usta... Czułem się, jakby uderzono mnie w głowę...

Kiedy znowu normalnie widziałem, a oszołomienie przeszło, młoda piękna dama zniknęła... Jaśnie pan powiedział, że ona jest jego kuzynką... Pan stał przy stole... W ręce trzymał arkusz papieru i ogłosił:

– Oto, Iwanie Kiryłłowiczu, twoje podanie z prośbą o zwolnienie z pracy. Podpisz to. Wyślę sam. Dostaniesz posadę w mojej własnej kancelarii. Kocham cię. Mojej kuzynce także się podobasz. Już się o to postaramy, abyś był szczęśliwy.

* * *

Dwa dni później jechaliśmy do Moskwy – cała karawana: kuchnia i służba, wszystko razem z nami... Zaś ja musiałem usiąść z jaśnie panem i jego kuzynką... jako trzeci... w tym samym powozie! W głowie mi się mąciło... Niusza, bratanica szewca oraz to, co czekało nas w Moskwie... Wszystko okazało się takie, jak znałem z opowiadań: święty Kreml i dzwon Iwana... w dodatku jeszcze grały dzwonki powozu... Koła chrzęściły i podskakiwały... Sądziłem, że na pewno od tego wszystkiego oszaleję...

Wreszcie znaleźliśmy się w Moskwie... Wszystko było takie, jak we śnie... We śnie... Wszystko jak we śnie...

Poszedłem do biura... Pan był ciągle bardzo łaskawy...

Inaczej tu było niż w tej dziurze, w domu...

Raz pan poklepał mnie po ramieniu i zauważył:

– Ależ szczęściar z ciebie, Iwanie Kiryłłowiczu... Ja cię uszczęśliwię... Czy słyszałeś?

Co miał na myśli, tego nie wiedziałem... Wiele razy jednak dziękowałem za jego dobroć... I kilka dni później stało się...

– Iwanie Kiryłłowiczu – polecił jaśnie pan. – Ubierz się dzisiaj wieczorem odświętnie. Odwiedzimy moją kuzynkę...

Zrobiłem, co mi nakazano i co tylko mogłem... Wieczorem do niej poszliśmy... A jej mieszkanie... ojoj! Cudo... Nie do opisan! I jak nas przyjęła...

Ciągle nazywała nas obu swoimi przyjaciółmi. Również mnie podała rękę... Miała taką piękną małą dłoń – miękką jak aksamit! Gwiazdy znowu tańczyły w mojej głowie. Taka wielka uprzejmość...

Spędziliśmy tam cały wieczór... Zaprosiła nas, żebyśmy ją znowu odwiedzili... I teraz wstępowaliśmy do niej częściej...

Prawie codziennie...

Któregoś dnia pan wyszedł... Zostałem sam z piękną Sonią – tak nazywał ją jaśnie pan... Wtem usiadła przy mnie na kanapie... Pełen poważania chciałem wstać... Ale ona mnie powstrzymała, patrzyła na mnie tak szelmowsko i zaszeptła mi do ucha:

– Bardzo cię kocham, Iwanie Kiryłłowiczu... Czy mnie także kochasz?

Zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje... Przedtem piłem dobrą wódkę... Zaś ta zawsze była u Soni dobra...

Odpowiedziałem jednak:

– Tak, oczywiście!

Teraz mnie objęła... Reszta mojego rozsądku całkowicie znikła... Nagle pan wrócił do pokoju.

– A to co znowu? – wykrzyknął.

Piękna Sonia odpowiedziała jednak spokojnie:

– Oto mój narzeczony, drogi kuzynie... Kocham go jak moje życie. Mówiąc to objęła mnie znowu i ucałowała w policzki...

We mnie i ze mną tańczyło wszystko, co znajdowało się w pokoju: meble, lustra... ściany!

– Czy naprawdę, Soniu, jesteś przekonana, że on będzie dla ciebie dobrym mężem? – zapytał pan... To „dobrym” zaakcentował tak jakoś dziwnie.

– Ależ tak, z pewnością – odpowiedziała Sonia i ścisnęła moją rękę.

– No a ty, Iwanie Kiryłłowiczu – zwrócił się pan do mnie.

– Czy chcesz ją poślubić?

– Tak – odparłem. – Jeśli jaśnie pan zechce pozwolić...

Co innego miałem odrzec? Ze strachu byłem cały sztywny... W skroniach łomotało mi jak w kuźni... W mojej głowie nie było ani jednej myśli... Gdy szedłem do domu, jaśnie pan powiedział mi, że jestem teraz z Sonią zaręczony.

* * *

Osiem dni później odbył się nasz ślub, w cerkwi leżącej na uboczu... Oszołomiony usłyszałem „tak” wypowiedane przed ołtarzem ustami Soni... Do tej pory przecież nie wierzyłem... Ale teraz stało się to prawdą: Sonia była moją żoną... O mój Boże, kiedy wspominał tę radość! A potem! Dystans, różnica okazała się zbyt duża! Jeśli pan to usłyszy, to może pan uwierzy w jaki sposób z grzecznego Iwana Kiryłłowicza powstał najmarniejszy grzesznik, którego teraz ma pan przed sobą...

Kiedy wróciliśmy do domu, a nasi goście byli bardzo radośni... pan nagle wziął mnie na stronę i oznajmił:

– Iwanie Kiryłłowiczu, Sonia czuje się trochę niedobrze... Musi pojechać do domu, ale sama. Zgadzasz się na to, prawda? – Tak, jaśnie panie – powiedziałem, jak tego oczekiwano.

Sonia odjechała... Zostałem jeszcze, aż pan dał mi znak... Wtedy również się pożegnałem, odjechałem także... ale naturalnie do siebie... do mojego mieszkania... a nie do mojej żony. Jaśnie pan tak sobie życzył...

* * *

Nadal też mieszkalem u siebie... O Soni nic nie slyszalem ani jej nie widzialem... Z poczatku lamalem sobie glowe, jak to jest ze mna i moja zona. Z czasem jednak przywyklem do tego stanu. Jaśnie pan jak najsurowiej zabronil mi odwiedzac Sonie, poki tego nie nakaze, a wiec tak zapewne musiało być dobrze. Dopiero po siedmiu miesiacach jaśnie pan kazal mnie przywołac i oglosil:

– Iwanie Kiryłłowiczu, gratuluję ci... Twoja żona urodziła ci syna...

Włosy stanęły mi dęba.

– Moja żona? – wykrzyknąłem. – Ależ jej przecież od dnia ślubu ani razu nie widziałem.

Wtedy pan bardzo się zdenerwował.

– Głupcze – krzyknął do mnie. – Przecież ona jest twoją żoną. Co za bzdury wygadujesz?

Spojrzał przy tym na mnie, jakby zaraz miał mnie kazać wychło-

stać... Oczywiście trzymałem język za zębami... Kiedy jednak znowu znalazłem się na zewnątrz, zacząłem się głośno śmiać...

Kilka tygodni później musiałem pójść do Soni, ponieważ dziecko miało zostać ochrzczone... Była bardzo uprzejma, pokazała mi dziecko i powiedziała:

– Widzisz, Iwanie Kiryłowiczu, jakie masz szczęście... Bóg podarował ci syna... I jakiego wspaniałego!

Chciałem coś powiedzieć. Ale w tej chwili przyszli już popi i diakoni. Ochrzcili dziecko

– Iwan Iwanowicz Kaczugin! – otrzymali zapłatę i poszli... Na uczcie, oprócz jaśnie pana i mnie byli jeszcze rodzice chrzestni i akuszerka. Nikogo z nich nie znałem. Przy stole zatem pan zapytał:

– Iwanie Iwanowiczu, czy jesteś szczęśliwy, że masz syna?

Zacząłem się śmiać... Tak głośno, że znowu do mnie zakrzyczano:

– Ty głupcze! Czy przestaniesz się wreszcie śmiać?

Wtedy oczywiście przestałem.

* * *

W ten sam sposób panie... urodziło mi się jeszcze dwoje dzieci. I za każdym razem, kiedy mi winszowano, śmiałem się... Zawsze się śmiałem... Przecież to śmieszne? Prawda?

W tej chwili Iwana opanował konwulsyjny śmiech, któremu wtórowały koszmarnie ataki kaszlu, aż całkiem bez sił opadł na posłanie... Oddychał ciężko. Oddech miał krótki. Znowu dałem mu się napić wody z cukrem. Tym razem minęło pewnie z dziesięć minut, aż na tyle odpoczął, że mógł dalej opowiadać.

– I tak oto byłem już ponad cztery lata w Moskwie... Wiele się tam można nauczyć... O tak! Wszystko już wiedziałem! Ale... tylko się śmiałem. I wykonywałem swoje prace w kancelarii... Zbyt wiele nie miałem do roboty, niewiele więcej niż przy mojej żonie! O wszystko odpowiednio zadbano! Pan dotrzymał swojego przyrzeczenia... Całkowicie mnie uszczęśliwił... Tak, zapewne był szlachetnym człowiekiem! Sam był ożeniony z księżniczką... lecz jej nie kochał, jak mówiono... Tylko dlatego, że była tak bogata... Prawie cały czas przebywała w swojej posiadłości... O tak, wiedziałem już wszystko, ale... Och! Wszyscy jesteśmy grzesznikami!

Iwan opuścił głowę na piersi. Ręce leżały wyciągnięte na szarej kłodrze, całkiem suche. Usiłował złapać powietrze. Potem spróbował nakreślić znak krzyża, lecz nie miał już siły, więc się nawet nie

starał. Zapadnięte oczy, tkwiące głęboko w tysej czaszce, pozostawały przytknięte. Wreszcie ponownie zebrał wszystkie swoje siły.

– Zakradłem się – zaskrzeczał ledwie słyszalnym głosem. – Była to straszliwa noc! Wysłuchałem nauk! Przyjaciele... oni tak długo mnie zwodzili, aż oszalałem. Wszyscy jesteście grzesznikami!

Pod łóżkiem mojej żony, tam się schowałem. Myślałem tylko o jednym: ten świeżo naostrzony nóż... wbiję w jego pierś, ponieważ tak bardzo chciał mnie uszczęśliwić... Strachu wcale nie czułem... Byłem jak bestia... Czas jednak płynął tak wolno... Zupełnie jakby mijały lata, takimi się wydawały mijające minuty... Nareszcie! W pokoju obok śmieli się.

Przyszli... Och! Sonia niosła lampę... Postawiła ją na stole w sypialni, była taka szczęśliwa, taka serdeczna, ona – kochana moja żona! Och, jakim jestem grzesznikiem! Chciałem poczekać... aż zasną... Ale nie mogłem zwlekać... Oni byli tacy szczęśliwi... Tak się śmieli... szczęśliwi. Ojej! Serce się we mnie przewracało i pękało, kiedy ich słyszałem... Nie mogłem czekać... Wcale tego nie chcąc, podszedłem do brzegu łóżka... wtedy dostrzegła mnie rozbierająca się Sonia.

– Zbójcy – krzyknęła... Co się działo dalej... nie wiem. Pamiętam tylko, że przyszła mi do głowy myśl, że ofiara mogłaby mi uciec, więc skoczyłem na niego jak tygrys... i...

– Och, Boże zmiłuj się nade mną! – krzyknął nagle tak głośno, że wszyscy wokół spojrzeli na nas. Wówczas pierś jego opadła. Zamilkł.

Nasłuchiwałem... Oddychał jeszcze, bardzo słabo, cicho...

Wszyscy nam się przyglądali.

– Przed sąd – zaskrzeczał umierający. – Ja tylko... ja się tylko śmiałem, ś-mi-ał-em, tyl..., śm...

I tak zmarł. Po chwili nasłuchiwałem znowu. Była już tylko cisza. Cisza wokół.

Iwan przestał się śmiać.



Aleksander Sochaczewski, *Autoportret z żołnierzem*; MN nr inw. 668

Inny tytuł tego obrazu: *Studia: towarzysz z katorgi i konwojujący kozak*. Dwie postaci na neutralnym tle. Po lewej autoportret Aleksandra Sochaczewskiego, po prawej linearny, czarno-biały wizerunek kozaka. Sochaczewski w ujęciu całościowym, widziany z lewego profilu. Ubrany w krótki kożuszek, z torbą przewieszoną przez ramię, na głowie czapka zawiązana pod brodą. Na nogach kajdany. Postać Sochaczewskiego widoczna na obrazie *Pożegnanie Europy* po prawej stronie obelisku. Kozak też w ujęciu *en pied*, stoi prawie na wprost, głowę ma skierowaną trzy czwarte na lewo. Żołnierz w długim płaszczu, futrzanej czapie, z lewą ręką na szabli.